

warzystwa Rolniczego składy, a Bachmacki pośredniczy. Sam podsunął mi tę robotę i ukłamy kosztorys... No, gdyby on lub kto inny ośmielił się zalecać do mej żony, dałbym ja jemu! — podniósł pięść w górę i zrobił minę okrutną i zawziętą.

— Cóżby mu dał pan budowniczy? — spytał zwolna, z wielką powagą Orszycki.

— Zastrzeliłbym go, jak psa! — zawołał groźnie.

— I ja tak samo! — rzekł z wojowniczą miną Merczak. — Mojej żonie nie wolno wchodzić do sali przyjęć.

— No, a gdy pana niema? — spytał Szabelski.

— Zastępuje mnie, ale drzwi zostawia otwarte.

— I sama bierze miarę? — zaśmiał się Winecki.

— Żart niewczesny, — zmarszczył brwi Merczak, — moja żona to dama dobrze wychowana i ułożona, a taka wstydliva, że przy mnie nie nakłada pończoch.

— Pewno podarte i dziurawe, — zaśmiał się Blum.

— O, przepraszam! Moja żona nic dziurawego nie nosi, — odparł obrażony.

— A skąd pan wiesz, jeśli nie ubiera się przy panu, — uśmiechnął się Winecki.

— Skąd? to moja rzecz.

Jakiś czas rozmawiali o polityce, o nowych podatkach, a swoją drogą myśli ich były zaprzątnięte przypuszczalnym wyjazdem żon, i z głuchym niepokojem rozmyślali, na jakie to pokusy i różne przygody będą one narażone w obcym miejscu, zdala od nich.

Już nadchodziła zwykła pora rozejścia się, gdy stary Blum rzekł z uśmiechem, wesołym głosem:

— Wiecie, dzisiejsza nasza rozmowa o żonach przypomniała mi dawne, dobre czasy... Będzie temu ze trzydzieści lat, byłem młody, a druga moja żona, Panie świec nad jej duszą, była ładna, wesoła kobietka... No, i schodziliśmy się co wieczór na piwie.

— Gdzie? panie prezesie? — spytał Szabelski.

— Tu, w tym samym lokalu, tylko mieliśmy ten stolik pod oknem, — spojrzał w tę stronę, — a było ich, żonkosiów, jak teraz was, akurat czterech. Był Marcin Nadobny, dobry chłop, umarł temu lat dziesięć; obok niego siadywał Jerzy Jelonkowicz, zegarmistrz, dowcipny i rozmowny, umarł na tyfus przed dwunastu laty; przy mnie siedział Floryan Kowalski, majster kominiarski, ten spadł z dachu i zabił się. Żyje jeszcze Masłowicz, ale stary dziad, sparaliżowany.

To wymienianie nieboszczyków zaczęło nudzić słuchaczy, i Winecki rzekł:

— Czy to długa historia?

— Posłuchaj, a nauczysz się...

Otóż do naszych żon, jak to bywało dawniej rzadziej, a dziś zawsze, zalecali się różni, takie szlifbruki, akurat jak do waszych. My wszyscy byliśmy cały dzień w pracy, dobrze, gdy człowiek wpadł na obiad i kolację... Gryzła nas, co też robią nasze żony bez nas na spacerach, wieczorami, albo też po nabożeństwie, zwłaszcza majowem, ale żaden z nas do tego nie chciał się przyznać.

Blum spojrzał na zasłuchanych towarzyszy i uśmiechnawszy się spytał:

— A może was nudzi ta długa historia?

— Nie!... Nie! — zawołali żywo.

— Więc słuchajcie... Mówiłem wam, że Jelonkowicz, zegarmistrz, był dowcipny, otóż on jednego wieczoru powiada do nas: zróbmy sobie żart z naszymi żonami, który z nas spotka żonę jednego z nas, niech ją odprowadzi do domu, czy ona chce, czy nie.

— O! O! — skrzywił się Szabelski, — obrazi się przecież, zresztą idzie z kimś, za sprawunkami.

— Znów ma się o co obrażać! — wzruszył Blum ramionami, — byliśmy młodzi i nie obrażaliśmy się.

— No, i cóż się stało? — dopytywał się gorąco Orszycki.

— Trwała ta zabawa przez tydzień i jak ręką odjął. Nikt już nie asystował naszym żonom, a i one przestały włóczyć się bez celu.

— Hm... to niezły sposób, — powiedział Winecki po chwili.

— I ja tak myślę, — rzekł zwolna Orszycki, — warto się zastanowić.

— Wiecie co! — zawołał nagle Szabelski, — póki one są w mieście, na naszych oczach, to człowiek spokojny, ale gdy wyjadą...

— Trzeba będzie coś obmyśleć, — popił piwo Orszycki; — i mówi pan prezes, że umizgi ustaly raz na zawsze?

— Tego nie powiedziałem, dość, że przesadywały więcej w domu... Swoją drogą, później się pokazało, że Jelonkowicz zadurzył się w Kowalkowskiej, a Nadobny w Masłowicowej, ale to już inna historia.

— Czas do domu, — wstał Szabelski.

— I nic nie postanowimy? — zawołał z żalem Orszycki.

— Względem żon? — uśmiechnął się Winecki.



Szabelski i Winecki mieszkali w tej samej stronie miasta, szli tedy razem do domu.

— A chociażby... Ostatecznie spokój jest miły człowiekowi.

— Jutro! Jutro! — dzwonił Merczak na płacniczego.

Szabelski i Winecki mieszkali w tej samej stronie miasta, szli tedy razem do domu, i zaledwie się pożegnali z towarzyszami, rzekł Szabelski:

— Uważałeś, Jasiu, jaki ten Orszycki zabawny z tem swoim gadaniem o Marskim i żonie. — A tak! Niemal wróble o tem świegocą, a ten chwali się, że kawalera do domu nie wpuszcza, — zaśmiał się Winecki.

— Prawda, że ten Marski żonaty, ale już tak asystuje Orszyckiej, że to wszystkim rzuca się w oczy... Już jaby na to żonie nie pozwolił, — powiedział Szabelski tonem surowym. — Wiesz, mówiła mi Natalcia, że oni oboje byli razem w Kino.

— Co ty mówisz! — zdziwił się Winecki.

— Jak Boga kocham! Już to na Orszyckim sprawdza się, że mąż jest ślepy. Ja nie pozwoliłbym na takie wycieczki.

— Ani ja! Zresztą moja żona inna, cnotliwa, bogobojna i nie lubi się stroić.

— Tak samo i moja Natalcia. Nie uwierzysz Jasiu, jak moja żona umie ubrać się tanio i gustownie. Wiesz, sprawiła sobie cały kostium, kapelusz, pantofelki i wszystko razem za dziesięć koron. Pięć oszczędziła, a pięć koron dodałem.

Ta pochwała Natalci pobudziła ambicję Wineckiego, każdy mąż bowiem uważa, że jego żona powinna posiadać większe zalety, aniżeli inne żony. Jest w tem dużo miłości własnej, gdyż doskonałość żony jest zarazem świadectwem doskonałości męża w wyszukaniu i w wyborze żony.

— Zawsze ta suknia kosztowała ciebie dziesięć koron, — rzekł Winecki drwiąco, a Romcia sama zrobiła sobie kapelusz, który kosztowałby co najmniej piętnaście koron, jak widziałem na wystawie.

— Niema co, możemy sobie powinszować, takich żon jak nasze mało na świecie, — powiedział z odcieniem dumnego zadowolenia Szabelski.

— jakiś czas szli w milczeniu, aż nagle rzekł Winecki serdecznie:

— Ferdziu, wierzysz, że jestem twoim przyjacielem?

— Wierzę.

— Otóż na twojem miejscu postarałbym się, ażeby ten Niedzicki rzadziej bywał u ciebie... Wiesz, dyabeł nie śpi, a chociażby i nic nie było, zawsze, uważasz, opinia!...

— Co opinia!? — oburzył się Szabelski, — opinia dla żony, to ja! A co do Niedzickiego, on usługuje żonie z mojem pozwoleniem i tu, w mieście, gdzie wszyscy mnie znają i moją żonę, każdy wie, że to fatygant nieszkodliwy i śmieją się z niego, a co innego w obcym miejscu... Powiem ci pod sekretem, że wolałbym, ażeby on nie był tam równocześnie. Nie, ażeby mi bał lub podejrzewał coś, coby mi ubliżało, Bóg mi świadkiem, że nie, ale wiesz, obcy ludzie... nie wiedzą, kto ja... kto on... no, rozumiesz przecież...

— Tak, tak... rozumiem, — mówił Winecki z głębokim przeświadczeniem, — Bogu dziękuję, że ja podobnych ostrożności nie potrzebuję... Swoją drogą, już się postaram, ażeby nikt prócz nas i naszych żon nie wiedział, gdzie one pojadą.

— Otóż to! Otóż to! — zawołał ucieszony, — bo powiedz sam, naco i poco mają wiedzieć inni?

— To się rozumie. Poco mają wiedzieć. Żony muszą wiedzieć, ale możemy je zobowiązać do zachowania tajemnicy.

— O, moja Natalcia, gdy poproszę, dotrzyma, zresztą, sama będzie ucieszona, że pozbędzie się nadszkania tego nudnego Niedzickiego... A o tej zapadłej wsi nic jeszcze nie wiesz?

— Coś wiem, tylko nie chciałem rozgadywać przed wszystkimi... Na komisji budowlanej był dzisiaj komisarz policji, zgadło się o wyjeździe na lato, i okazało się, że

i on chce swoją młodą żonę wysłać do ustronnej wsi. Pytam go, gdzie? A on mi na to odpowiedział: powiem, ale na śniadaniu. Rozumiesz Ferdziu, że zgodziłem się, bo jeśli komisarz policji wysłał tam swoją żonę, wieś musi być bezpieczna.

— No, tak... a on tam będzie?

— Przyjedzie, co także jest dobrze, bo w razie czego mamy pomoc policji.

— Jednak ty, Jasiu, wszystko doskonale obmyśliłeś, — chwalił go szczerze Szabelski.

— Ja tak zawsze, bez planu i obliczenia nic nie zaczynam. Tak było i z mojem ożenieniem. Widzę, że dziewczyna uczciwa, powiadam jej: dam ci utrzymanie, ubranie, pozycję, chcesz być moją żoną? Trochę się krzywiła, niby wiek nierówny, ale ostatecznie zgodziła się i jest szczęśliwa.

— No, no, to wiesz, Jasiu, akurat tak samo było z Natalcią moją. Jeszcze za nieboszczki okrutnie mi się podobała, a miała starającego się. Co ja się tem nagryzłem, ale żona, chociaż śmiertelnie chora, żyła. Dopiero po jej śmierci posłałem swata, ażeby wybałał.

(Ciąg dalszy nastąpi).